

## **Edward Balcerzan o doświadczaniu poezji...**

Gdy w *Rachunku zachciankowym* Mirona Białoszewskiego znalazłem wiersz *Sprawdzone sobą*, nie miałem wątpliwości, iż ta definicja liryki jest ze wszystkich, jakie znałem, dla mnie najprawdziwsza i najbliższa. Moje inspiracje poetyckie wynikały w dużej mierze z osobistych doświadczeń historii i żywej mowy, z plątaniny języków rosyjskiego, ukraińskiego i polskiego, ale także z mowy – umarłej? – raczej: z unieśmiertelnionej w druku. Ołowiane sekrety druku miałem okazję poznać z bliska, ojczym – zecer zabierał mnie do drukarni, oglądałem makiety plakatów, farby złotych laurek, czcionki układane w ogłoszenia... Obcowanie z drukiem uwrażliwiało w sposób szczególny na kontrasty i napięcia polszczyzny. Tu rodziły się słowa przyjazne i wrogie, wysyłane przez Dobro i Zło. Losy mojej rodziny rozstrzygały się w świecie druków urzędowych. „Jeżeli nie masz dokumentów, to i ciebie nie ma”, ostrzegała moja mama. A jednocześnie stamtąd, z poligrafii, z księgozbiorów, przybywali przyjaciele – alchemicy słowa. Jan Kochanowski, Julian Tuwim, Władysław Broniewski, Sergiusz Jesienin, Federico Garcia Lorca... Czy to znaczy, że poezją jest terażniejszość odpytywana przez dziecięcą przeszłość? Tak określiłbym jedynie drogę do poezji, poetycką gotowość osobniczego języka. Poezja bywa nie tylko językiem w języku, bywa także wyobraźnią w wyobraźni, zabawą w powadze, powagą w zabawie, światem w świecie, zaświatem, antyświatem... nieprzewidywalnością, czyli tym, co wydawało mi się niemożliwe, a ja o tym, że to może wydawać się niemożliwie, chwilę wcześniej nie miałem pojęcia.

### **...i o działalności literaturoznawczej:**

*Liczne kwestie, zagadkowe dla generacji wcześniejszej niż nasza, po latach robią wrażenie szkolnych oczywistości. Z kolei inne, niegdysiejsze oczywistości, odczytujemy jako inspiracje do rewizji i zaproszenia do nowych oświeleń. Tak przemieszczają się granice między jasnym a niejasnym. Czy to znaczy, że – wskutek tylu różnic i przemieszczeń – pokolenia nie mogą się porozumieć? Nie tylko mogą, ale bardzo często porozumienia międzypokoleniowe konstytuują trwalsze nawyki myślowe niż uzgodnienia wewnątrzgeneracyjne. Jeżeli zdarza mi się ujawniać własne doświadczenia i przeżycia z okresu młodości (zawodowej, literaturoznawczej), postępuję tak z nadzieją, że swoista, niechby nawet trudno czytelna w detalach „egzotyka” moich edukacyjnych realiów, nie musi blokować przekazu, bo w odmiennych okresach historii kultury literackiej pozostają miejsca wspólne. Są one tożsamością aury emocjonalno-intelektualnej procesu wchodzenia w dojrzałość. Powtarzalnością psychosfery. Młodość polonistyczna, literaturoznawcza połowy lat 50. XX wieku, tak jak literaturoznawcza młodość początków drugiej dekady XIX wieku (pokolenia moich niedawnych seminarzystów i obecnych doktorantów, doktorów, profesorów), upodobnia do siebie gwałtowna dynamika zmian, eksplozywna dialektyka nagłych zwrotów metodologicznych, zamęt idei, pojedynek konformizmu z*

*buntem, starcie plagiatowości z oryginalnością, wojna mody z niemodą. Góruje nad tym nieodparta potrzeba uporania się z chaosem. Realia jakże odmienne. Stan emocji? Pod wieloma względami taki sam. I może jest tak, że to więzy osobowości, psychiki, wyobraźni – silniej niż racje chwili historycznej – decydują ostatecznie o tworzeniu się szkół badawczych? Z moich obserwacji nauczyciela akademickiego wiem aż nadto dobrze, że w każdej grupie studenckiej dają się szybko rozpoznać „bratnie dusze”, nadające i odbierające – jak mówi obiegowa, celna metafora – na tych samych falach, i – z reguły nieco później – objawiają się „przypadki beznadziejne”, komunikacyjnie niereformowalne wrażliwości, imaginacje, sprawności – niepoddające się żadnym edukacyjnym wysiłkom czy chwytom. Ma to (jak wszystko w uniwersum kultury) złe i dobre strony. Złe, ponieważ rola edukacji, a także rola argumentów pojawiających się w dyskusjach, okazują się w tej sytuacji – skromne, a niekiedy rujnujące nadzieje na pozyskanie sprzymierzeńców. Niejednokrotnie jest tak, że starając się kogoś przekonać do własnych hierarchii i metod, utwierdzamy go jedynie w stanowisku całkowicie naszym wartościom przeciwnym. A im więcej zużywamy energii na przekonanie go dla naszych idei, tym zacieklejszego wychowujemy adwersarza. Zarazem, i to jest krzepiące, w świetle opisanych tutaj mechanizmów widać jasno, że literaturoznawstwo, niezależnie od rodzaju i stopnia naukowości, wcale nie musi być dziedziną emocjonalnie pustą, obcą porywom serca, wydestylowaną z depresji i euforii, przeciwnie, rodzi tak samo silne – bo tak samo głęboko osobowościowe – namiętności, jak twórczość artystyczna.*